

Zbigniew Kiełmiński

Poziom frekwencji w amerykańskich wyborach prezydenckich

SŁOWA KLUCZOWE:

*partycypacja wyborcza, frekwencja wyborcza,
amerykańskie wybory prezydenckie,
frekwencja populacji w wieku wyborczym, trendy poziomu frekwencji*

Uwagi wstępne

Jak wiadomo, w każdym roku przestępnym w pierwszy wtorek po pierwszym poniedziałku listopada i przez kilka następnych dni, amerykańskie media i w ślad za nimi media w innych krajach, przekazują informacje o wynikach powszechnego głosowania w wyborach prezydenckich w USA. Najważniejszą i niecierpliwie oczekiwaną na całym świecie wiadomością jest oczywiście informacja o tym, który z dwóch rywali nominowanych przez dominujące partie uzyskał w powszechnym głosowaniu przewagę, zapewniającą mu absolutną większość w kolegium elektorskim. Informacja o rozstrzygnięciu tego pasjonującego pojedynku nie stanowi jednak wielkiej sensacji, bo mieści się w scenariuszu, w którym z góry zakłada się zwycięstwo jednego z dwóch dobrze już znanych rywali. Nie mogą też zaskakiwać doniesienia, że sukces jednego z tych kandydatów nie znajduje wyraźnego odzwierciedlenia w podziale głosów amerykańskiego elektoratu. Tego rodzaju wtórna deformacja w amerykańskim systemie wyborczym zawsze może wystąpić i czasem się zdarza. Ciekawsza byłaby informacja o braku rozstrzygnięcia w głosowaniu powszechnym, bo nie zdarzyło się to od bardzo dawna, chociaż w 2000 roku niewiele brakowało, aby tak się stało.

Prawdziwą rewelacją byłoby oczywiście zwycięstwo tzw. trzeciego kandydata, bo to rezultat tylko teoretycznie możliwy, którego nikt się

nie spodziewa, nie wyłączając samych kandydatów. Obie wielkie partie nieprzerwanie cieszą się poparciem około dwóch trzecich dorosłych obywateli, a tylko w incydentalnych, bardzo rzadkich przypadkach (1968 r.) uzyskują łącznie w powszechnych wyborach prezydenckich mniej niż 90% głosów, a w ostatnich zgodnie ze standardem – 99%. Dlatego poszukuje się innych sensacji.

W 2008 roku przez co najmniej dwa dni po wyborczym wtorku media na całym świecie nieprzerwanie powielały sensacyjne doniesienia o *hiperfrekwencji*, która mogła przekroczyć 66% lub nawet przekroczyła, bo często zapominano o postawieniu znaku zapytania. W następnych kilku dniach donoszono już tylko o wysokiej frekwencji (61–62%), zbliżonej do osiąganey w latach sześćdziesiątych, ale opinia publiczna była już zaabsorbowana czymś innym. Dopiero po kilku tygodniach, gdy mało kto się tym interesował, zaczęto publikować szacunkowe dane umożliwiające dokonywanie sensownych porównań. W poważnych analizach pojawiły się jak zwykle co najmniej trzy różne wskaźniki procentowe frekwencji, które nie zmieniają się już więcej niż o ułamek procenta. Pierwszy z tych wskaźników, przyjęty zwykle przy porównywaniu osiągniętego poziomu frekwencji wyborczej w czasie i przestrzeni, wyraża stosunek między liczbą głosów oddanych na prezydenckich kandydatów a szacowaną liczbą Amerykanów w wieku wyborczym (*Voting Age Population Turnout Rate*, czyli *VAP Turnout Rate*)¹. Tak ustalana frekwencja w wyborach 2008 roku wynosiła 56,8%. Warto od razu zauważyć, że podawany w statystykach wskaźnik *VAP Turnout Rate* o kilka procent obniża mierzony poziom frekwencji w porównaniu do inaczej ustalanego w wielu demokracjach europejskich.

Drugi procentowy wskaźnik oznacza stosunek między liczbą głosów oddanych na prezydenckich kandydatów a szacowaną liczbą Amerykanów w wieku wyborczym, którzy mogli głosować, bo nie było przeszkód prawnych ani faktycznych (*Voting Eligible Population Turnout Rate*, czyli – *VEP Rate*) i w wyborach 2008 roku wynosił 61,7%. Wskaźnik ten musi być z oczywistych przyczyn wyższy od pierwszego. Rzadko stosowany jest w analizach porównawczych, ponieważ ustala się go od stosunkowo

¹ Wskaźnik ten obejmuje zatem znaczącą liczbę Amerykanów w wieku wyborczym, którzy z różnych powodów nie mogą głosować, w tym zwłaszcza rezydentów bez obywatelstwa (w 2008 r. to 8,6% populacji w wieku wyborczym), ale także pozbawionych wolności, pozostających pod nadzorem sądowym i upośledzonych umysłowo (w 2008 r. było to łącznie 3,4 mln osób), wg. elections.gmu.edu/Turnout_2008G.html, 4.05.2009. Ustalono też, iż blisko 5 mln Amerykanów w wieku wyborczym było w dniu głosowania w 2008 r. zagranicą.

niedawna, a metoda jest ciągle zmieniana i doskonalona. Trzeci wskaźnik wyraża stosunek między liczbą oddanych głosów, w tym głosów bez wskazania kandydata, do populacji zdolnej do głosowania (*Voting Eligible Population Total Ballots Turnout Rate*, czyli *VEP Total Ballots Rate*). W 2008 roku wynosił 62,3%.

Okazało się zatem, iż frekwencja mierzona w sposób od dawna przyjęty w statystykach porównawczych (*VAP Turnout Rate*)². w 2008 roku była tylko o 1,5% wyższa, od osiągniętej w 2004 roku (55,3%). To rzeczywiście najwyższy poziom frekwencji od 40 lat, ale żadnego cudu nie było. W każdym razie nie można mówić o jakimś trudnym do pobicia rekordzie. Tak czy inaczej, stosowany normalnie w porównaniach wskaźnik frekwencji wyborczej w 2008 r. był niższy o około 10% od ogłoszonego w momencie, w którym cały świat się tym interesował. W ten sposób stworzone zostały warunki do narodzin mitu o *superfrekwencji* w ostatniej kampanii prezydenckiej w USA.

Współczesne media, w tym zwłaszcza amerykańskie, mają w tym swój udział, ale trudno je za to winić. Ustalanie poziomu frekwencji w amerykańskich wyborach federalnych trwa zbyt długo, aby media mogły czekać przez całe tygodnie na wynik oszacowany z dokładnością do jednego procenta. Rzecz w tym, że w Stanach Zjednoczonych nie ma urzędowego spisu uprawnionych do głosowania wyborców, a podstawę do określania wskaźników frekwencji w wyborach federalnych tworzy przeprowadzany zgodnie z konstytucją co dziesięć lat spis powszechny ludności. Dane uzyskane w ten sposób, uzupełniane i korygowane są szczególnie pod koniec dekady przez szacunki podawane przez różne agencje federalne, w tym zwłaszcza przez urząd statystyczny (*U.S. Bureau of the Census*). Uściślanie danych o poziomie frekwencji może trwać nawet kilka miesięcy, ponieważ poważnym problemem jest nie tylko dokładne określenie liczebności populacji zdolnej do głosowania w sensie prawnym i realnie, ale także samo ustalanie liczby oddanych głosów w skali ogólnokrajowej, ze względu na niewyobrażalne w Europie zdekcentrowanie organizacji procesu wyborczego.

Proces wyborczy organizowany jest przez poszczególne stany, z pewnymi tylko ograniczeniami, jakie narzucają ogólne reguły zawarte w konstytucji USA oraz w federalnym ustawodawstwie i orzecznictwie

² W dalszych rozważaniach będzie mowa o frekwencji tak właśnie mierzonej (*VAP Turnout Rate*) i podawanej na podstawie danych zawartych w *American National Elections Studies Data*, Ann Arbor (*C.P.S.R ed., Michigan University*) oraz innych źródeł, bo publikowane i powszechnie dostępne dane zasadzie nie różnią się więcej niż o ułamek procenta.

sądowym. W poszczególnych stanach stosowane są różne techniki głosowania i liczenia głosów. W 2004 roku wprowadzono w niektórych stanach głosowanie elektroniczne. W związku ze sposobem głosowania albo niezależnie od niego określa się kryteria ważności oddanego głosu. Na przykład, w Nevadzie za ważny uważa się głos oddany przeciwko wszystkim kandydatom³. W innych stanach byłby nieważny, albo w ogóle nie liczony, gdyż odpowiednio ustawiona maszyna do głosowania go po prostu nie przyjmuje.

Sensacyjne doniesienia o *superfrekwencji* w 2008 roku mogą paradoksalnie przynieść pewien pożytek. Ochłódzą zapał tych wszystkich, którzy w literaturze naukowej powielają mit o rzekomo stale obniżającym się poziomie frekwencji w amerykańskich wyborach prezydenckich. To mit zadziwiająco trwały, który ożywa w literaturze amerykańskiej po każdym krótkookresowym załamaniu frekwencji w którejś z kolejnych kampanii prezydenckich. Jak wiadomo, ostatnie takie gwałtowne załamanie frekwencji miało miejsce w 1996 roku.

W bibliotekach amerykańskich uniwersytetów można znaleźć wszystko, czego dusza zapragnie. Na wyższych półkach są znakomite książki, na niższych mnóstwo książek autorów, którzy zwykle obwieszczą, że dostrzegli zmiany, jakich inni nie widzą, albo zbliżające się kataklizmy. Mit o obniżającej się ciągle frekwencji doskonale nadaje się do uzasadniania różnych prorocstw i wskazywania ciemnych chmur, jakie zawisły nad amerykańską demokracją.

Jest wiele poważnych analiz porównawczych frekwencji w amerykańskich wyborach⁴, ale też niemało takich, w których nie przestrzega się dyrektyw metodologicznych przyjętych w tych pierwszych i w sposób dowolny zestawia dane ze statystyk wyborczych w całkowitym oderwaniu od kontekstu historycznego, społecznego i ustrojowego. Niniejsze opracowanie jest próbą przeciwstawienia się analizom wątpliwej jakości i wynikającym z nich fałszywym ocenom poziomu frekwencji w amerykańskich wyborach prezydenckich.

³ Np. w wyborach prezydenckich 2004 roku oddano tam 3688 takich głosów.

⁴ Np. analizy publikowane periodycznie w *American National Electectoral Studies*, Ann Arbor, ICPSR, a także zawarte w innych często powoływanych opracowaniach. Por. zwłaszcza: A. Campbell and oth., *The American Voter*, Chicago 1976; S. Verba, *Participation and Political Equality*, New York 1978, rozdz. 4; W. Flanigan, N. Zingale, *Political Behavior of the American Electorate*, 5ed., New York 1983; G. Powell, *American Voting Turnout Comperative Perspective*, "American Political Science Review" 1986, s. 17–44 i inne.

Grzechy pospolite niektórych analiz porównawczych

Rzecz jasna, każdemu wolno porównywać ilościowe wskaźniki partycypacji wyborczej w czasie i w przestrzeni, ale formułowanie wniosków i ocen wymaga jasnego określenia sensu i zakresu analizy, a w szczególności tego, co jest porównywalne, a co nie jest i dlaczego. Można – na przykład – konfrontować dane o najwyższej frekwencji w amerykańskich wyborach prezydenckich (82% w 1876 r.) z tymi z ostatniej kampanii, a nawet wyprowadzać z tego oczywisty wniosek, że udział uprawnionych obywateli w wyborach cenzusowych był znacznie większy niż w wyborach powszechnych. Nie ma jednak sensu wyprowadzanie jakichkolwiek dalej idących wniosków, ponieważ chodzi o różne w znaczeniu ustrojowym wybory, w których uczestniczył elektorat o zupełnie innym kształcie prawnym, demograficznym i społecznym.

W większości publikowanych obecnie amerykańskich statystyk wyborczych jako pierwsze pojawiają się dane o frekwencji w 1960 roku. Nie jest to przypadek lecz skutek rozwijanego od końca lat pięćdziesiątych federalnego ustawodawstwa o gwarancjach powszechności i materialnej równości głosu, które w zależności od uregulowań zawartych w ustawodawstwach poszczególnych stanów w różnym stopniu wymuszało rejestrację wyborców i ograniczyło wcześniejszą swobodę w kształtowaniu jej prawnych wymogów. W konsekwencji, powstała możliwość ustalania ogólnej liczby zarejestrowanych wyborców. W 1960 roku przedstawiono dane szczegółowe, ale jeszcze bardzo niekompletne, bo bez uwzględnienia 15 stanów. Przeciętny Europejczyk może w związku z tym zauważyć ze zdumieniem i niedowierzaniem, że w statystykach z kampanii prezydenckiej 1960 roku liczba oddanych głosów jest o kilka milionów wyższa od liczby zarejestrowanych wyborców.

Publikowanie statystyk wyborczych, w których datę początkową wyznacza kampania prezydencka z 1960 roku, stwarza takie wrażenie, jakby powszechne głosowania w Stanach Zjednoczonych zaczęły się od nawyku spędzania wolnego czasu przed telewizorem. Wykorzystanie telewizji w kampaniach prezydenckich w latach sześćdziesiątych XX wieku z pewnością było czynnikiem aktywizującym amerykański elektorat, podobnie jak wykorzystanie radia w latach trzydziestych. Skutek jest taki, że w wielu analizach porównawczych za podstawę oceny trendów frekwencji wyborczej przyjmuje się relatywnie wysokie wskaźniki z lat sześćdziesiątych minionego stulecia. Tymczasem za podstawę należałoby przyjąć niższe wskaźniki z lat siedemdziesiątych, czyli osiągnięte po zmianie kształtu demograficznego elektoratu, wywołanej przez XXVI

Poprawkę (przyznanie praw wyborczych obywatelom, którzy ukończyli 18 lat⁵). To jest właśnie jeden z powodów żywotności mitu o spadającej frekwencji w amerykańskich wyborach prezydenckich.

Mit ten co pewien czas na nowo rozpala wyobraźnię twórczą autorów amerykańskich, a w konsekwencji także badaczy w innych krajach, w tym w Polsce. Nie warto tworzyć listy jego wyznawców, ponieważ można z góry założyć, że nie byłaby pełna. Dla ilustracji ograniczę się tylko do ostatniego z polskich przykładów, zaczerpniętego z książki, która ukazała się już po amerykańskich wyborach z 2008 roku⁶. Autor z całą powagą powtarza alarmistyczną tezę o frekwencji wyborczej stale i systematycznie spadającej w USA od połowy lat pięćdziesiątych⁷ lub od lat siedemdziesiątych minionego stulecia⁸, aż do przekroczenia w 1996 roku punktu krytycznego, w którym po raz pierwszy (a nie wiadomo od kiedy) absencja była wyższa od frekwencji. Czytelnik może odnieść wrażenie, iż są już wyraźne symptomy jakiejś zbliżającej się katastrofy, na jaką narażona jest amerykańska demokracja.

Nie jest prawdą, że w roku 1996 po raz pierwszy głosowała mniej niż połowa Amerykanów w wieku wyborczym. W trzech następnych kampaniach taki przypadek nie wystąpił, ale wcześniej i to już po upowszechnieniu praw wyborczych w 1920 roku zdarzył się i to dwukrotnie (1920 r. i 1924 r.). Katastrofy nie było. Po uchwaleniu XIX Poprawki w 1920 roku (przyznanie praw wyborczych kobietom) frekwencja wyborcza w dwóch pierwszych głosowaniach tego nowego elektoratu była aż o 13% niższa od ustalonej w ostatnim głosowaniu tego starego (1916 r.). Średnia frekwencja w trzech kampaniach prezydenckich w latach dwudziestych wynosiła 52%. Była niższa o 8% niż w poprzednim dziesięcioleciu, w którym głosowali tylko mężczyźni.

Mniejsza jednak o incydentalne przypadki spadku frekwencji poniżej 50%, bo nie w tym tkwi istota problemu. Trudno pojąć, dlaczego ów trend spadkowy miałby się rozpocząć w połowie lat pięćdziesiątych, skoro

⁵ Do 1971 roku cenzus wieku wyborczego – poza XIV Poprawką – nie był regulowany w konstytucji USA, a w większości konstytucji stanowych przyjmowano jako granicę 21 lat lub więcej.

⁶ T. Płudowski, *Komunikacja polityczna w amerykańskich kampaniach wyborczych*, Warszawa 2008, s. 269.

⁷ Tamże, s. 10.

⁸ Autor napisał, że poziom frekwencji „od 40 lat stale spada. Jeszcze w latach 50. i 60. ponad 60% Amerykanów brało udział w wyborach prezydenckich, później rozpoczął się systematyczny spadek. W roku 1996 po raz pierwszy zagłosowała mniej niż połowa uprawnionych”. Tamże, s. 197.

poziom frekwencji w latach czterdziestych (3 kampanie prezydenckie ze średnią frekwencją 57%) był niższy niż w latach pięćdziesiątych (2 kampanie ze średnią 62%), a w latach sześćdziesiątych taki sam jak w pięćdziesiątych (3 kampanie ze średnią 62%).

Nieco inaczej wygląda ten drugi wariant, w którym początek trendu spadkowego ma przypadać na lata siedemdziesiąte. Obniżenie poziomu frekwencji w latach siedemdziesiątych było bezpośrednim skutkiem XXVI Poprawki. Wskaźnik frekwencji wyborców w wieku od 18 do 21 lat był od początku niższy od średniego: w 1972 r. – 48%, w 1976 r. – 38%, w 1980 r. – 36%, w 1984 r. – 37%, a w 1988 r. – z rekordową absencją – 33%⁹. Od czasu uchwalenia XXVI Poprawki można zatem z łatwością wskazywać palcem sprawców nadchodzącej rzekomo katastrofy. Są to oczywiście najmłodszy wyborcy, których posądza się o postępujący zanik świadomości obywatelskiej. To oni właśnie *uciekają w prywatność*, co objawia się w absencji wyborczej. Tak się właśnie mówi, dopóki ktoś nie zauważy przytomnie, że młodzi wyborcy nigdzie nie uciekają, bo muszą załatwiać bardzo poważne sprawy osobiste, związane ze zdobywaniem wykształcenia i wyborem partnera na dalszą drogę życia, a więc sprawy takie, które starsi już załatwili. Nie mają wiele czasu na aktywność obywatelską, a jeśli odkrywają w sobie polityczne pasje, to wyrażają je najczęściej w formie pokoleniowego buntu. Wskaźniki aktywności wyborczej Amerykanów rosną wraz z ich wiekiem aż do 70 roku życia i nie ma w tym nic dziwnego. W innych współczesnych demokracjach jest podobnie. Dla porządku wypada tylko zauważyć, iż w kampaniach prezydenckich w okresie 1996–2008 wskaźniki frekwencji wyborców w wieku od 18 do 29 lat rosły relatywnie szybciej, niż starszych, bo wynosiły w 1996 r. – 37%, w 2000 r. – 41%, w 2004 r. – 48% i w 2008 r. – 51%¹⁰.

Jakie wobec tego ma uzasadnienie w zestawieniu ze statystykami wyborczymi teza o stale i systematycznie obniżającym się poziomie frekwencji w amerykańskich wyborach prezydenckich? Nie dostrzegam żadnego. Ocenianie trendów frekwencji w amerykańskich wyborach prezydenckich w długoterminowej perspektywie bez uwzględnienia ilościowych i jakościowych zmian elektoratu wywołanych przez rozszerzenie prawa wyborczego w XIX i XXVI Poprawce zniekształca sens formułowanych ocen.

⁹ Por. S.J. Wayne, *The Road to the White House 1992. The Politics of Presidential Elections*, New York 1992, s. 62.

¹⁰ Według CIRCLE, www.civicyouth.org, 30.04.2008.

W wielu analizach porównawczych pojawiają się także inne uproszczenia, które mogą wpływać na formułowane generalizacje. Podam znów tylko przykładowo analizę, na jaką powołuje się autor już wymienionej, niedawno wydanej w Polsce książki. Chodzi o przeprowadzone w 2002 roku badanie frekwencji wyborczej w krajach OECD, w którym porównywano dwa pierwsze głosowania w wyborach powszechnych przeprowadzonych w latach sześćdziesiątych z dwoma ostatnimi przed podjęciem analizy¹¹. Pomieszano w związku z tym poziomy frekwencji w wyborach parlamentarnych i prezydenckich, bo porównywano kraje, w których przeprowadza się powszechne głosowanie w wyborach prezydenckich, z takimi, w jakich takiego głosowania nie ma. Po drugie, ustalano poziomy frekwencji na podstawie danych z dwóch następujących po sobie głosowań, w których mogła wystąpić znacząco odbiegająca od średniej zaskakująco niska lub wysoka frekwencja. Po trzecie, dość swobodnie i przypadkowo wyznaczono cezury czasowe tj. pierwsze lata sześćdziesiąte i ostatnie przed badaniem. Wszystko to razem wzięte od razu stawiało na różnych i w dużym stopniu przypadkowych pozycjach startowych poszczególne kraje przedstawione w rankingu.

Stany Zjednoczone od razu znalazły się na beznadziejnej pozycji, bo akurat porównywana była rekordowo wysoka frekwencja w dwóch pierwszych kampaniach prezydenckich z lat sześćdziesiątych (średnia – 62%) z rekordowo niską w okresie półwiecza frekwencją w 1996 roku (49%) i niską w 2000 roku (51%). W tym ujęciu wynik badania może budzić zgrozę, bo występuje spadek frekwencji aż o 12%. Wystarczy jednak tylko o kilka lat przesunąć cezury czasowe i porównać – zgodnie z metodą przyjętą w omawianym badaniu – dwie pierwsze amerykańskie kampanie prezydenckie w latach siedemdziesiątych z dwiema ostatnimi przed rokiem 2009, a już wszystko wygląda inaczej. Średnia frekwencja w dwóch pierwszych wyborach z lat siedemdziesiątych wynosiła bowiem 54%, a w dwóch ostatnich (2004 r. i 2008 r.) urosła do 56%! Krótko mówiąc, przez odpowiedni dobór cezury czasowej można uzasadnić, co tylko się chce. Dlatego w analizach porównawczych długoterminowych trendów aktywności wyborczej należy wyraźnie określić wyjściowy lub średni poziom frekwencji dla elektoratu o określonym w prawie wyborczym profilu społecznym i demograficznym.

¹¹ T. Płudowski, *Komunikacja polityczna...*, s. 206.

Względna trwałość i zmiana reguł zachowań wyborczych

Skokowy spadek można zobaczyć przy porównaniu średniego poziomu frekwencji elektoratu ukształtowanego przez XIX Poprawkę (tj. 58% w trzynastu kampaniach prezydenckich z lat 1920–1968), ze średnim poziomem dla całego okresu 1972–2008, w którym obowiązywała XXVI poprawka (53%). Ocena w perspektywie, jaką obecnie wyznaczają statystyki z okresu 1960–2008, nie uzasadnia tezy o stale spadającej aktywności wyborców. Średnia frekwencja w trzynastu kampaniach prezydenckich w tym okresie wynosiła 55%. Osiągnięty w latach siedemdziesiątych średni poziom (54%) nie różni się specjalnie od osiąganego w trzech następnych dziesięcioleciach, w których wynosił odpowiednio: w latach osiemdziesiątych – 53%¹², dziewięćdziesiątych – 52%, a dla trzech kampanii z lat 2000–2008 – 54%. Choć w 1996 roku nastąpiło głębokie załamanie, to średnia z czterech kampanii z lat 1996–2008 to także 53%. Krótko mówiąc, mierzony w okresach co najmniej dziesięcioletnich średni poziom frekwencji elektoratu obejmującego grupę najmłodszych wyborców w wieku 18–21 lat jest względnie stabilny i żadnego trendu spadkowego nie widać.

W politologii i socjologii wyborczej przez kilkadziesiąt lat zebrano wiele dowodów na rzecz tezy o względnej trwałości reguł zachowań wyborczych w ustabilizowanych demokracjach. Poziom frekwencji wyborczej rozpatrywany w długookresowej perspektywie dla elektoratu o uregulowanym w ustawodawstwie wyborczym składzie społecznym i demograficznym jest względnie stabilny. Nic w tym dziwnego, bo przecież wynika z zakorzenionego w kulturze i tradycji modelu partycypacji politycznej, systemu partyjnego, ustroju państwowego, systemu komunikowania politycznego i innych jeszcze względnie trwałych czynników. Przyczyną wzrostu czy spadku rozpatrywanego długookresowo poziomu frekwencji może być tylko istotna zmiana tych czynników, jaką było – na przykład – ukonstytuowanie V Republiki we Francji.

Zawsze znajdzie się jednak ktoś, kto napisze, że reguły zachowań wyborczych zmieniły się nagle i nieoczekiwanie, bo media upowszechniły jakąś kłamiwą informację albo jeden z prezydenckich kandydatów pokonał drugiego w debacie telewizyjnej. W 1980 roku za sensacyjną uznano informację, że R. Reagan uzyskał większe niż jego rywal poparcie od

¹² Taki też poziom ustalono w badaniach porównawczych obejmujących 20 krajów w okresie 1980–1989, por. R.S. Erikson, N.R. Luttbeg, K.L. Tedin, *American Public Opinion*, 4th ed., Macmillan 1991, s. 4.

wyborców w wieku 18–29 lat, ponieważ wcześniej głosowali oni z zasady na demokratów, co uznawano za trwałą regułę zachowań¹³. Opublikowano potem kilka książek, których autorzy wykazali, że przyczyn zmiany reguły zachowań wyborczych w 1980 roku (nie tylko tych młodych wyborców) szukać trzeba w tym, co się działo na długo przed wyborami, a nie w samej kampanii wyborczej¹⁴.

Zmiana polityczna w ustabilizowanych demokracjach przez lata dojrzewa, zanim uzewnętrznia się w zaskakujących z pozoru zachowaniach wyborców. Po sukcesach wyborczych republikanów w latach 1980–1984, przyjęto kilka nieostrych pojęć dla określenia neokonserwatywnej ofensywy, aby zaakcentować, że chodzi o nowe zjawisko. Tymczasem nadchodzącą zmianę polityczną można było przewidywać już w latach sześćdziesiątych, kiedy to pojawiło się wiele wyraźnych symptomów załamania się doktryny i polityki *New Dealu*, który przez ponad trzydzieści lat był główną osią ideowych i politycznych podziałów w amerykańskiej elicie i w społeczeństwie. W wyborach prezydenckich 1968 roku obaj kandydaci głównych partii zdobyli łącznie ledwie 86%, co samo przez się było ewenementem. Na relatywnie wysoką frekwencję w tych wyborach (61%) nie wpływał zatem międzypartyjny spór, lecz przeciwnie – dystansowanie się podziału partyjnego dużej części elektoratu, co zaowocowało uzyskaniem przez niezależnego kandydata (G. Wallace) aż 46 głosów elektorskich.

Na początku lat czterdziestych XX wieku Paul Lazarsfeld w badaniu absencji w amerykańskich kampaniach prezydenckich podzielił elektorat na pięć głównych grup ze względu na identyfikację partyjną tj. na zdecydowanych i chwiejnych demokratów i republikanów oraz niezależnych (*independents*). Klasyfikacja ta – uzupełniana potem podziałami wewnątrz tych grup – stopniowo stała się coraz szerzej stosowaną metodą interpretowania i prognozowania nie tylko frekwencji, ale także wyników wyborów, oraz związanych z tym zmian w systemie politycznym. P. Lazarsfeld ustalił ścisłą zależność między afiliacjami partyjnymi a aktywnością wyborczą, od najniższej wśród *independents* do najwyższej w grupach zdecydowa-

¹³ Poparcie R. Reagana w tej grupie elektoratu utrzymało się jeszcze w kampanii 1984 r. (59%), ale w wyborach 1988 r. kandydat republikanów miał już tylko niewielką przewagę (G. Bush – 52%).

¹⁴ Por. B. Campbell, R. Trilling, *Realignment in American Politics. Toward a Theory*, Austin–London 1980, s. 3–329; E. Sandoz, C. Jr. Crabb, *A Tide of Discontent: The 1980 Elections and Their Meaning*, Washington 1981, s. 19–191; M. Fiorina, *Retrospective Voting in American National Elections*, Yale University Press 1981; P. Kleppner and oth., *The Evolution of American Electoral System*, Greenwood Press 1981 s. 3–32; M. Nelson, *The Elections of 1984*, Washington 1985, s. 1–27.

nych (*strong*) demokratów i republikanów. W konsekwencji, najprostszą i szeroko wykorzystywaną metodą oceniania zmian poziomu frekwencji w amerykańskich wyborach prezydenckich jest ustalanie procentowego udziału *niezależnych* w elektoracie oraz zmian, jakie w tym zakresie zachodzą w kolejnych kampaniach.

Grupa *independents* od czasu badania przeprowadzonego przez P. Lazersfelda do kampanii prezydenckiej 1964 roku powiększała się niemal niezauważalnie (od 20 do 23%). W 1968 roku wzrosła jednak do 28%, a w 1972 roku stanowiła już 35% elektoratu, po czym aż do 1996 roku udział ten nie zmieniał się więcej niż o jeden procent¹⁵. To właśnie, obok obniżenia wieku wyborczego w XXVI Poprawce jest przyczyną kilkuprocentowego spadku średniego poziomu frekwencji w kampaniach prezydenckich w latach 1972–2008 w stosunku do okresu 1920–1968, ale także ustabilizowania się tego poziomu w granicach 53–54%. Od 1997 roku grupa *independents* zmniejszała się w kolejnych sondażach tj. od 35% w 1997 roku do 30% w 2004 roku¹⁶, co także ma swoje odzwierciedlenie w powoli rosnącej od 2000 roku frekwencji w trzech kampaniach prezydenckich.

Poziom frekwencji w amerykańskich wyborach prezydenckich jest wprawdzie wyraźnie niższy od osiąganego w największych zachodnioeuropejskich demokracjach, ale też o wiele bardziej stabilny niż w demokracji francuskiej czy brytyjskiej¹⁷. Na tej podstawie twierdzi się często, że Amerykanie w mniejszym stopniu angażują się w sprawy publiczne, niż Brytyjczycy, Francuzi czy Niemcy.

Mało kto w Europie powie to samo o Szwajcarach, chociaż nie wykazują oni większego od Amerykanów zapału do głosowania w wyborach federalnych. Mieszkańców Szwajcarii usprawiedliwia się łatwo, bo wzywani są często do głosowań referendalnych. Wydaje się w związku z tym zrozumiałe, że wybierają tylko takie, w których chcą zdecydowanie przeciwstawić się jednej z możliwych opcji, bo jest dla nich nie do zaakceptowania. Inaczej mówiąc, istotnym motywem udziału w głosowaniu staje się nie tyle chęć korzystania z obywatelskiego prawa, ile sprzeciw wobec samemu poddaniu pod głosowanie określonej sprawy w taki sposób, że może na tym ucierpieć indywidualny interes. Ta dobrze zbadana korelacja między stopniem akceptacji opcji poddanych głosowaniu a poziomem frekwencji w szwajcarskich referendach występuje także w wyborach ogólnych.

¹⁵ R.S. Erikson, N.R. Luttbeg, K.L. Tedin, *American Public Opinion...*, s. 11.

¹⁶ Wg. PSRA/Newsweek Polls.

¹⁷ R. Dalton, *Citizen Politics in Western Democracies*, Chatham 1988, s. 38–41.

nozwiązkowych, bo w nich polityczne opcje są mało wyraziste, albo nawet praktycznie ich nie ma. Rysują się na tym tle trzy specyficzne i powiązane ze sobą przyczyny absencji wyborczej. Pierwszą jest przekonanie obywateli, że w powszechnym głosowaniu należy uczestniczyć wtedy, gdy wymaga tego osobisty interes. Drugą jest stosunek obywateli do dwóch w jakiejś mierze konkurencyjnych konwencjonalnych form partycypacji w życiu publicznym tj. aktywności wyborczej i komunalnej, a trzecią – zmęczenie demokracją, która wymaga zbyt uciążliwego w przekonaniu obywatela udziału w głosowaniach. Wszystkie trzy występują z pewnością w Stanach Zjednoczonych.

Pierwsza jest podstawą rozwoju amerykańskich teorii racjonalnej partycypacji wyborczej, poczynając od stworzonej przed ponad pięćdziesiąt lat temu teorii Anthony Downsa¹⁸, która w fachowej literaturze ma od ponad pięćdziesięciu lat zarówno zagorzałych krytyków, jak i licznych kontynuatorów. Dwie pozostałe zostaną w sposób skrótowy niżej przedstawione.

Aktywność wyborcza w amerykańskim modelu partycypacji politycznej

Utrwalane przez pokolenia wyobrażenia Amerykanów o naturalnym prawie wspólnot lokalnych do własnego rządu (*local government*) sięgają czasów pionierskich. W doktrynie konstytucyjnej i w orzecznictwie sądowym wyobrażenia te nazywane są zazwyczaj ludową teorią samorządu (*popular theory of self-government*)¹⁹. Chociaż od stu pięćdziesięciu lat to ludowe prawo do samorządu jest w różny sposób podważane w orzecznictwie sądowym, powszechnie uważa się, że wspólnoty lokalne je mają. W każdym razie stanowe konstytucje gwarantowały dotychczas realizację tak rozumianego prawa do samorządu wszystkim domagającym się tego wspólnotom lokalnym. Unikano szczegółowej prawnej reglamentacji tego prawa właśnie dlatego, że uchodzi za naturalne. Narzucanie zasad samo-

¹⁸ *A Economic of Democracy*, New York 1958.

¹⁹ A.H. Syed, *The Political Theory of American Local Government*, University of Massachusetts, Studies in Political Science, New York 1965, s. 21–53; znane i nadal aktualne są w tym zakresie spostrzeżenia, jakie miał Alexis Tocqueville, *Democracy in America*, New York 1953, (dostępne jest także polskie wydanie). W polskim piśmiennictwie naukowym spośród opracowań, w których przedstawiona jest doktryna i praktyka samorządu terytorialnego w USA, warto polecić przede wszystkim obszerne studium T. Langer, *Stany w USA. Instytucje, praktyka, doktryna*, Warszawa 1998, s. 298–378.

rządu terytorialnego wbrew woli konkretnych zbiorowości lokalnych, jakich dotyczą, zawsze napotykało na opór. Jakkolwiek od zakończenia wojny secesyjnej podejmowano z różnym powodzeniem wiele prób unifikacji ustroju podstawowych jednostek samorządu terytorialnego, pozostaje faktem, że jednostki te istnieją tylko w tych wspólnotach, które same zdecydowały się je utworzyć.

Dla przeciętnego Europejczyka, głównym – a często jedynym poza aktywnością zawodową – przejawem partycypacji w życiu publicznym jest podążanie co kilka lat do lokalu wyborczego, aby uczestniczyć w głosowaniu powszechnym. Amerykanie partycypację w życiu publicznym utożsamiają przede wszystkim z aktywnością komunalną. Amerykański duch lokalizmu (*spirit of locality*), o którym wiele ciekawych opinii pozostawili w swoich pismach Thomas Jefferson i Alexis de Tocqueville, uważany jest za cechę narodową i jedną z podstawowych wartości kultury politycznej, co ujawnia się od dawna wyraźnie w różnych badaniach porównawczych. Przypomnieć tu trzeba przede wszystkim powoływane od prawie pięćdziesięciu lat dzieło, którego autorami byli Gabriel Almond i Sidney Verba²⁰, a także późniejsze opracowania przygotowane z udziałem tego drugiego²¹.

Spirit of locality uchodzi za jeden z głównych motywów aktywności publicznej Amerykanów, czym wyraźnie odróżniają się od mieszkańców współczesnej Europy²². Rzucił blask na amerykańską historię, ale też zaznaczał się na jej ciemnych kartach, szczególnie w kilkudziesięcioletnim okresie wszechwładzy lokalnych bossów (*dark ages*), w którym życie publiczne skażone zostało przez korupcję i nadużycia wyborcze na niewyobrażalną skalę²³.

²⁰ Por. *The Civic Culture*, Boston 1965, s. 89, 116, 169, 185 i inne.

²¹ Szerzej Z. Kielmiński, *Wspólnota samorządowa – problem partycypacji*, [w:] Z. Kielmiński, I. Kuźniewska (red.), *Reforma administracji publicznej RP*, Warszawa 1994, s. 35–38.

²² Pisałem o tym wcześniej w: *Władza lokalna w Stanach Zjednoczonych*, Warszawa 1994, s. 79–85, oraz *Wspólnota samorządowa – problem partycypacji...*, s. 34–46.

²³ Warto przypomnieć w tym miejscu wyczyny jednego z ostatnich wielkich bossów Toma Pendergasta, który w połowie lat dwudziestych minionego stulecia opanował organizację partii demokratycznej i samorząd municypalny w Kansas City. Stosował dewizę *trzeba zdobywać głosy bez względu na sposób*, a więc także za pomocą oszustwa, łapownictwa i zastraszania. Nieprzemijającą sławę zawdzięcza ustanawianym w czasie jego rządów rekordom frekwencji wyborczej, ponieważ sięgała 100% dorosłych mieszkańców miasta. W Kansas City mówiono wtedy z ironią o ścisłej zależności między poziomem frekwencji a natężeniem ruchu drogowego w mieście (w wynajętych taksówkach obwożono przekupione osoby, które głosowały wielokrotnie w różnych lokalach wyborczych).

Przy ocenie aktywności wyborczej Amerykanów zwraca się często uwagę na znacznie niższą niż w wyborach prezydenckich frekwencję w wyborach kongresowych, stanowych i lokalnych. Z wielu powodów udział obywateli w wyborach kongresowych na półmetku prezydenckiej kadencji bywa o prawie 20% niższy i przynajmniej od 1930 roku nie przekroczył 50%²⁴. Jednym z tych powodów jest status członków Kongresu, w tym zwłaszcza członków Izby Reprezentantów, który wymaga utrzymywania ciągłego kontaktu z wyborcami i stałego zabiegania o reelekcję. Mieszkańcy okręgów wyborczych otrzymują niemal każdego tygodnia od *swoich* przedstawicieli w Kongresie listowne raporty, ankiety z pytaniami, karty z życzeniami wyrażanymi w bezpośredniej, familiarnej formie itp. Powstaje w związku z tym ogólne wrażenie, iż nie ma potrzeby, aby członków Izby Reprezentantów co dwa lata na nowo rozliczać, a senatorów rozlicza się rzadko.

Inne motywy absencji występują w wyborach stanowych. Prestiż stanowych legislatur jest niski. Na skutek utrzymującej się aż do lat sześćdziesiątych minionego stulecia nierówności praw wyborczych, w kilku pokoleniach utrwał się pogląd, że stanowe zgromadzenia prawodawcze nie są reprezentatywne. Według rozpowszechnionej opinii, mandat stanowy to mało atrakcyjna forma służby publicznej, która nie przynosi satysfakcji ani korzyści. To raczej rodzaj *a part-time job*, ponieważ w niewielu tylko stanach wynagrodzenie członków legislatur może być w warunkach amerykańskich uznane za przyzwoite. Stanowa egzekutywa także nie cieszy się wielkim poważaniem. W amerykańskiej tradycji, zwłaszcza w mniej zurbanizowanych stanach Zachodu i Południa, gubernatora uważa się raczej za figurę polityczną o mniej lub bardziej ugruntowanym osobistym autorytecie, niż szefa zdekoncentrowanej egzekutywy. Poza gubernatorem w poszczególnych stanach wybiera się także od kilku do kilkunastu innych najważniejszych funkcjonariuszy stanowej administracji. Osiemnaście stanowych konstytucji przewiduje możliwość odwołania gubernatora przez wyborców²⁵, w tym w sześciu uzależnia się skuteczność podjętej inicjatywy od wykazania, że zagrożony odwołaniem dopuścił się naruszenia prawa. Przypadki pozbawienia gubernatora urzędu są sporadyczne. Rozgłos, jaki towarzyszył odwołaniu w 2003 roku gubernatora G. Davisa w Kalifornii nie wynikał więc wyłącznie ze światowej sławy jego następcy (tj. A. Schwarzenegera).

²⁴ Por. *Vital Statistics on Congress 1989–1990*, American Enterprise Institute 1990, s. 46; dane z okresu 1990–2006 wg. <http://elections.gmu.edu/turnout>. 2.05.2008.

²⁵ Zazwyczaj także innych wybieralnych urzędników administracji stanowej.

Inaczej jest na poziomie lokalnym, na którym tradycyjne prawo do odwołania osób wybranych (*recall*) uważane jest za nienaruszalne. Statuty podstawowych jednostek samorządu przewidują proste i skuteczne procedury egzekwowania tego prawa²⁶, a wyborcy chętnie z niego korzystają. Po co zatem popierać w wyborach jakiegoś kandydata, skoro nie jest pewne, jak będzie urząd sprawował, a wiadomo, iż potem można go w każdej chwili odwołać, gdy okaże się niegodny zaufania, jakim inni go obdarzyli? Stawianie takiego pytania nie tyle usprawiedliwia, ile wręcz uzasadnia absencję, gdy wyborca nie jest zdecydowany lub po prostu nie zna kandydatów. Na poziomie federalnym nie ma prawa *recall*, a to oznacza, że wskaźniki frekwencji w wyborach ogólnopaństwowych i municypalnych są po prostu nieporównywalne.

Wpływ wymogu rejestracji na frekwencję wyborczą

Przy ocenie poziomu frekwencji w amerykańskich wyborach prezydenckich trzeba pamiętać o tym, jak uciążliwy może być obowiązek dokonania wcześniejszej rejestracji, który w prawie wszystkich stanach wymaga od wyborcy większej fadygi niż samo głosowanie. Jak się często podkreśla, w Stanach Zjednoczonych prawie nikt nie przeoczy wyborczego wtorku i niemal wszyscy wiedzą, że jest jakiś nieprzekraczalny termin rejestracji. Na kilka tygodni przed wyborami mało kto jednak docieka, jaki to konkretnie termin i gdzie trzeba się udać, by dokonać rejestracji²⁷. Wskaźnik absencji wyborczej w USA obejmuje zatem nie tylko tych wyborców, którzy rozmyślnie, przypadkowo lub z powodu jakiejś przeszkody w dniu wyborów nie oddali głosu przed zamknięciem lokalu wyborczego, ale także takich, co się zagapili i nie trafili do urzędu przed upływem terminu zakończenia rejestracji.

Jeszcze w latach sześćdziesiątych w niektórych stanach rejestracja kończyła się wiele tygodni przed głosowaniem, gdy kampania prezydencka nie osiągnęła jeszcze swojego apogeum. W 1970 roku w ustawodawstwie federalnym wprowadzony został wymóg zakończenia rejestracji w wyborach prezydenckich nie wcześniej niż 30 dni przed głosowaniem. Od 2000 roku rejestracji dokonuje trzy czwarte obywateli w wieku wyborczym²⁸.

²⁶ Szerzej w: Z. Kiełmiński, *Władza lokalna...*, s. 60.

²⁷ P. Converse, R. Niemi, *Non-voting among Young Adults in the United States*, [w:] W.J. Crotty (ed.), *Political Parties and Political Behavior*, Boston 1971, s. 456.

²⁸ I tak w 1964 r. – 65%, w 1968 r. – 68%, w 1972 r. – 69%, w 1976 r. – 69%, w 1980 r. – 69%, w 1984 r. – 71%, w 1988 r. – 69%, w 1992 r. – 71%, w 1996 r. – 74%, w 2000 r. – 76% i w 2004 r. – 79%, wg. www.presidency.ucsb.edu/data/turnout.php, 26.04.2008.

Stany mają wiele swobody w regulowaniu prawnych wymogów rejestracji, bo ustawodawstwo i orzecznictwo federalne jest restrykcyjne tylko wtedy, gdy wymogi te naruszają bezpośrednio zasadę powszechności wyborów w formalnym sensie konstytucyjnym. Na przykład, gdy kilka południowych stanów uzależniło rejestrację w kampanii prezydenckiej 1960 roku od opłacenia podatku wyborczego, to już po niespełna dwóch latach Kongres USA uchwalił zakaz takich praktyk w XXIV Poprawce, ratyfikowanej w styczniu 1964 r., a więc przed następnymi wyborami. Z podobną reakcją władzy centralnej spotkało się uzależnienie rejestracji na Południu od wyniku testów z umiejętności pisania i czytania oraz znajomości stanowej lub federalnej konstytucji. Testy te zawieszono w ustawie z 1965 roku, a w pięć lat później zakazano ostatecznie ich stosowania.

Mniej zdecydowana jest reakcja na wprowadzanie przez poszczególne stany utrudnień w samej rejestracji, które mogą być uciążliwe dla wyborców, ale nie wpływają wprost na ograniczenie formalnego prawa do głosowania. Ustawodawstwo i orzecznictwo federalne wkracza w tę materię ostrożnie i z góry dopuszcza różne odstępstwa od normy. To zrozumiałe, ponieważ ze względu na brak ogólnokrajowego urzędowego spisu wyborców, obowiązku meldunkowego i dowodów osobistych trudno jest bez wcześniejszej rejestracji zapobiec znanym z przeszłości praktykom wielokrotnego oddawania głosu przez tych samych wyborców. Mimo to nie ma w zasadzie narzucanych przez ustawodawstwo federalne ograniczeń w zakresie prawa stanów do łagodzenia formalnych wymogów, a nawet znoszenia obowiązku rejestracji²⁹.

Jaka wobec tego byłaby frekwencja w amerykańskich wyborach prezydenckich, gdyby nie było utrudnień związanych z wymaganą wcześniejszą rejestracją? W 1980 roku opublikowano książkę, w której przedstawiona została ciekawa próba symulacji poziomu frekwencji w wyborach prezydenckich 1972 roku, przy założeniu przeprowadzenia rejestracji bez czterech typowych uciążliwości z nią związanych, jakie występowały wtedy w większości stanów³⁰. Autorzy przy wykorzystaniu danych z sondaży prowadzonych *U.S. Bureau of the Census* ustalili, że samo prowadzenie

²⁹ W Wisconsin można dokonać rejestracji w dniu wyborów, bezpośrednio przed głosowaniem. Frekwencja w wyborach prezydenckich w tym stanie jest wysoka, bo – na przykład w 2004 roku – sięgała aż 78%, ale w 2008 roku była o 5% niższa. W Północnej Dakocie, jedynym stanie, w którym nie przeprowadza się rejestracji (zawieszono ją w 1972 r., a po czterech latach zniesiono) w dwóch ostatnich kampaniach prezydenckich głosowało 65–66%, wg. www.nonprofitvote.org/voteturnout2008, 30.04.2008.

³⁰ R. Wolfinger, S. Rosenstone, *Who Votes?* New Haven and London 1980, s. 158.

rejestracji do dnia wyborów (tj. bez daty wcześniejszego jej zakończenia) zwiększyłyby frekwencję o ponad 6%. Gdyby tylko rejestracja we wszystkich stanach prowadzona była także poza godzinami pracy, tzn. w godzinach wieczornych i w sobotę, to podniosłoby to poziom frekwencji w wymiarze ogólnokrajowym o 2,5%. Nieprzerwana rejestracja w normalnych godzinach urzędowania w ciągu całego tygodnia powiększyłaby wskaźnik frekwencji o dodatkowe pół procenta, podobnie jak umożliwienie chorym, upośledzonym i przebywającym za granicą dokonywanie rejestracji w drodze korespondencyjnej lub przez pełnomocnika.

W sumie, jak wskazują autorzy powołanej książki, tylko te cztery wymienione ułatwienia umożliwiłyby głosowanie ponad 12 milionom dodatkowych wyborców, co teoretycznie mogłoby podnieść poziom frekwencji prawie o 10%!³¹ Podawanie przez respondentów uciążliwej rejestracji jako przyczyny absencji nie jest oczywiście dowodem lecz tylko przypuszczeniem, że uczestniczyliby w głosowaniu, gdyby tych uciążliwości nie było. Z drugiej strony, absencję wyborczą wywoływały także inne niż wymienione w badaniu wymogi rejestracji np. przewidywany wtedy w wielu stanach warunek co najmniej 30-dniowej osiadłości. Nie można też zapominać o skutkach pośrednich, związanych z utrzymywaniem się przez dłuższy czas błędnego przekonania o uciążliwościach rejestracji po ich złagodzeniu lub nawet – jak w Północnej Dakocie – zniesieniu wymogu rejestracji³².

Tak czy inaczej, są podstawy, aby przypuszczać, że gdyby w Stanach Zjednoczonych zrezygnowano z wymaganej wcześniejszej rejestracji i zastosowano inny sposób zapobiegania naruszeniom prawa wyborczego, który nie obciąża obywatela załatwianiem formalności przed każdym powszechnym głosowaniem, to frekwencja w amerykańskich wyborach prezydenckich prawdopodobnie nie odbiegałaby specjalnie od przyzwoitego, średniego poziomu osiąganego w demokracjach europejskich. Wynika stąd ogólny wniosek, że niższe wskaźniki frekwencji osiąganey w różnych krajach niekoniecznie oznaczają mniejszą aktywność wyborczą obywateli. W każdym razie rysująca się w USA coraz wyraźniej perspektywa upowszechnienia elektronicznej rejestracji połączonej z głosowaniem może zasadniczo zmienić dotychczasowe wyobrażenia o niskiej frekwencji w amerykańskich wyborach. Nastąpi to wtedy, gdy w staty-

³¹ Tamże, s. 73–75.

³² W sondażu post-wyborczym przeprowadzonym w 1972 r. w Północnej Dakocie co trzeci z respondentów, którzy nie głosowali, uzasadniał absencję restrykcyjnymi wymogami rejestracji, chociaż była zawieszona. Tamże, s. 66.

stykach porównawczych nie będzie już podawany wskaźnik frekwencji mierzonej w stosunku do całej populacji w wieku wyborczym (*VAP Turnout Rate*), sztucznie zaniżający poziom rzeczywistej partycypacji wyborczej Amerykanów i nie będą oni stać w kolejkach w oczekiwaniu na otwarcie urzędu, w którym mogą się zarejestrować.

STRESZCZENIE

Relatywnie niski udział Amerykanów w wyborach prezydenckich przedstawiany jest często jako dowód apatii elektoratu, ale problem jest o wiele bardziej złożony. Przyjęty w Stanach Zjednoczonych wskaźnik frekwencji, mierzony w stosunku do populacji w wieku wyborczym, obejmuje znaczną liczbę osób nieuprawnionych do głosowania, co o kilka procent sztucznie obniża partycypację wyborczą w statystykach wyborczych. Prawne wymogi rejestracji wywierają znaczny wpływ na różnicę między frekwencją wyborczą w Stanach Zjednoczonych i Zachodniej Europie. Wygląda na to, że partycypacja wyborcza w amerykańskich wyborach prezydenckich wzrosłaby o ponad dziesięć procent, gdyby przyjęto europejski system rejestracji wyborców.

Zbigniew Kiełmiński

THE LEVEL OF TURNOUT IN U.S. PRESIDENTIAL ELECTIONS

The lax attendance in American presidential elections often are cited as evidence of the electorate's apathy, but a much more complex of factors is at work. Applied for many reasons in the United States a voting age population turnout rate includes a significant number of persons ineligible to vote. It falsely reduces the level of participation by at least several percentage points in electoral statistics. Registration laws are a major influence on differences in turnout between the United States and Western Europe. It seems that participation in American presidential elections would increase by more than ten percentage points if the European system of electoral registers was adopted.